

Nowa Polska Przemysłowa

Stalowa Wola - czyn stalowy

Gdzie wczoraj jeszcze szumił las
tam dzisiaj rosną mury fabryk

Miedzy Rozwadowem, a Niskim rozciąga się „pory szmat lasu. Nie są to żadne „pocne zwierza bory“, ani „puszcz litewskich przepastne krainy“, ale taki sobie zwykły, ubogi, typowo polski, skąd po poszyty las osnowy.

I nagle, tak nagle, jak to tylko w bajkach się zdarza, uwa się las wysokopieny, a w ponad modrej zieleni młodziaka strzelają ku niebu potężne czerwone ramiona stalowych konstrukcji i wysmukle sylwetki wież wodnych, opasane u podnóża pierścieniem kolczastych drutów.

WSPANIAŁE MISTERYJUM PRACY

To właśnie Stalowa Wola, Stalowa Wola, wyczarowana z gęstwi

leśnej nie magicznym zaklęciem czarnoksiężnika, ale z „łową wolą i czynem stalowym“ człowieka. Wyczarowana w niespełna 7 miesięcy, 7 miesięcy znojnego trudu, w miejscu, gdzie przedtem loskot siekiery nigdy nie kłóła leśnej ciszy.

My, przybysze ze zgiełkowej i rozgadanej Warszawy, my, żyjący bądź w intensywnym próżniactwie bądź w gorączkowym a jałowym motaniu się, stajemy pełni kontemplacji i oniesmielenia wobec tego wspaniałego „misterium pracy“, które się święci na całym obszarze od Karpat aż po ujście Sany, a którego szczytowy moment wypada właśnie tu, w Stalowej Woli.

ŁUDZIE O STALOWEJ WOLI

A kapłani i arcykapłani, którzy to misterium celebrują, gdzie są w tej chwili?

Oto jeden, w rozchełstanej koszuli, obłany potem ręce wyprężony w nadmiernym wysiłku i toczy przed sobą wagonetki żwiru.

Oto drugi zawisł u pułapu, który tam wysokośiężnej hali i spina stalowe liny.

Oto trzeci zgarbiony nad rysownicą, rzuca na papier czarne smugi tuszu, które za kilka dni w innym wymiarze przeistoczą się w kotły, warsztaty, lub ruszty.

A tam znow w ciśnień i dusznej izdebce administracyjnego drewniaka blada, chuda panienka zonglująca bez przerwy wtyczkami raz po raz wbijając je w krwawe ściepła gniazdek i nawołuje co chwila, zachrypłym ze zmęczenia głosem: „Halo! Tu podwoda Zakładów Południowych. Łączę z panem dyrektorem“.

CO SIE Z NIMI STANIE?

Jeszcze kilka miesięcy, jeszcze pół roku niespełna, a misterium Stalowej Woli dopełni się. Zagrzają stalowe tryby maszyn, zasyczą w paleniskach gaz, zawrzą motory, a strumienie rozpalonej stali z hukiem wać się będą z basenu do basenu. Największe zakłady na terenie okręgu centralnego, huta stalowa i fabryka metalurgiczna w Stalowej Woli, rozpoczną służbę Polsce.

A ci, którzy ofiarą swojej pracy zmniejszyli do niespełna roku dystans między dniem rozpoczęcia a dniem ukończenia budowy — inżynierowie z popłakanyimi rękoma, robotnicy w rozchełstanych koszulach, technicy budowy — co się z nimi stanie?

Boimy się bardzo, by ci z nich, którzy nie zostaną „d.r.wieni“ w myśl zasady „Murzyn zrobił swoje“, by ci, którzy pozostaną w Stalowej Woli nie zostali odsunęci od wielkiego ołtarza pracy, aokoła którego zgraja wycylińdrow

wanych oczajduszów z rad nadzorczych rozpocznie swój bluznierczy lewiataniec dywidend i tantiem.

Bo, niestety, już dziś widać, że nie wszystko w Stalowej Woli jest tak piękne jak bór, z którego huta wyrasta, tak czyste jak rzebio, na którego tle rozpięto siatkę stalowych konstrukcji i tak bezinteresowne, jak zapal człowieka pracy.

INWAZJA CHAŁATASTRY

Przed wszystkim żydzi.

Potrafili się wcisnąć tu, jak zresztą wszędzie potrafią się wcisnąć, narazie w kilku, wcagając po tym za sobą armie współwyznawców.

Na terenie samych zakładów na 18 firm, pracuje tylko jedna żydowska, lwowska firma Szalak, konstruująca wieże wodne. Tłumaczone nam, że się nie dało inaczej, że wchodziły tu w grę patenty.

Skłonni byłibyśmy tym zapewnieniom uwierzyć, gdyby nie to,

że równocześnie budowę osiedla mieszkaniowego, na co chyba nie trzeba było żadnych patentów, ani licencji Funduszu Kwaterunku Wojskowego powierzył żydowskiej firmie Guttman z Krakowa.

A p. Guttman oczywiście sprowadził za sobą cały legion chałatowych pobratymców, dostawców wapna, cegły, środków transportowych i t. d. i t. d.

Jest tym dziwniejsze, że dopuszczono do tej inwazji chałatowej na Stalową Wola, jeśli się zwąży, że zakłady z uwagi na ich znaczenie dla obrony kraju, są pilnie chronione przed niedyskrecją obywateli i wizytami nieproszonych gości. Cóż pomogą te tysiączne środki ostrożności, stosowane w stosunku do turystów i podróżnych, jeśli się jednocześnie wpuszcza tak licznie na teren budowy przedstawicieli naszej mniejszości etnicznej?

Kazimierz Bobiński.

Zboczniactwa...

ŁOWY NA LUDZI

Czytaliśmy niedawno w prasie w jaki sposób dowcipni Francuzi chcieli upolować czterech polskich pitkaczy. Ot po prostu „urzędniki“ naszych dzielnych Ślązaków szampanem i sympatyczne „pieruny“ podpisywały po pijanemu kontrakt.

Jak widzimy powtarzają się znowu polowania na ludzi. Dawniej, gdy polowano w Afryce na murzynów, chwytano ich postępując się hukami muszketów, co dzikich ludzi wprowadzało w takie odrętwienie i przerażenie, że można było z nimi robić, co się tylko chciało.

Teraz metoda polowania się zmieniła. Naszym dzielnym pitkarzom nie zaszkodził by, ani ich przestraszył muszketów. Ich zwyciężył wystrzał... korka butelki szampana.

Sądzą, że przyszłe wyprawy naszych sportowców zagranicę będą się odbywać pod opieką specjalnych strażników. Pojedzie również i lekarz ze wszystkimi przyrządami potrzebnymi do przepukania żołądka, a na dworcu granicznym wszyscy członkowie naszych ekip będą składać przyrzeczenie, że nie wezmą do ust ani kropli sznapsa.

A jeśli i to nie pomoże to możliwe, że wprowadzone zostaną specjalne wagony — klatki, z których sportowców będzie się wypuszczać tylko prosto na boisko i po meczu samochodem pancernym odwozić z powrotem.

Bo jeszcze by ktoś do nich dotarł i a nuż by podpisali kontrakt.

Musimy więc bronić naszych „asów“ przed zaciętym polowaniem.

B. REZA

Taniość, trwałość — dobry krój to za'ety

KRAWATÓW APIS

produkcji A. Plekarski i Ska

JACEK BRZEZINA

70)

PANI NA PUSTYNNYCH SZLAKACH

POWIEŚĆ

Lecz straciła jedyne oparcie, które jej zawsze dawało otuchę i siłę w najgroźniejszych chwilach. Przestała wierzyć w swoje szczęście.

Czuła się zgubiona.

Sierżant śmiał się spoglądając na trzymaną w ręku depeszę. Władze francuskie komunikowały mu, że bunt nigdzie się nie udał, że tylko Abou-Kemal walczy...

— Chcę mnie nabrać, łajdaki. Bunt się nie udał... cha, cha, cha... Myślę, że uwierzę i jak baranek poddam się. Nieodczekać ich.

— A choćby... — splunął. Na chwilę opadło z niego zamroczenie.

Ujrzał się w sytuacji bez wyjścia. Bunt się nie udał. On został sam na placu, oszukany przez kochankę, zdradzony przez przyjaciół politycznych... Co mu pozostało do zrobienia? Bić się do ostatka. Zginąć — lecz nie samemu... z nią.

Na myśl o pani d'Anduston wróciło szaleństwo. Zerwał się i z pasją kopnął aparat radiowy. Brzękły rozbijane lampki.

— Już jestem panem boju. Samoloty uciekły — co mi jeszcze grozi? — Śmiał się wylatując na dziedziniec.

Czas był rozprawić się ostatecznie z panią d'Anduston.

Nie zdążył jednak. Przed bramą zatrzymał się na spienionym koniu zakurzony beduin: — Legia idzie.

Z warkotem motorów samochodowych, wiozących legionistów, zbliżał się koniec abou-kemalskiego buntu.

Krwawo dnia tego zachodziło słońce nad Abou-Kemalem. Krwawymi promieniami objęło miasto, krwawo zalało pustynię, krwawymi błyskami odbiło się w mętnych wodach Eufratu.

Gruby muezzin wyśpiewujący drżącym głosem swoje modlitwy z wierzchołka minaretu, spoglądał ze strachem na zachód, gdzie widać już było kolumny kurzu.

— Legia idzie... — szło przez pustynię, wzniesając strach w duszach jej synów.

Kapitan Ferraro zatrzymał kolumnę. Siedzący obok niego, przebrany za Araba, archeolog poinformował go o całej sytuacji.

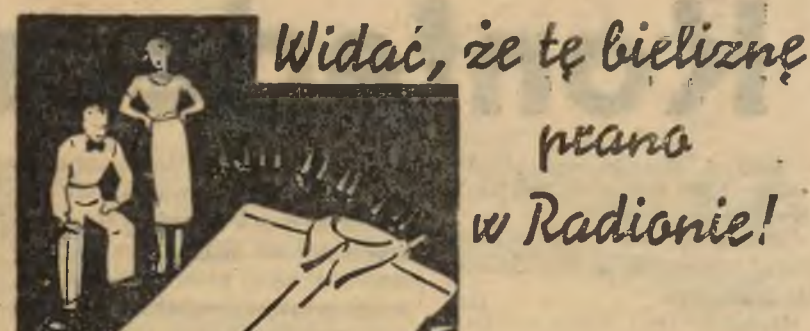
Spotkał go o kilkanaście kilometrów przed miastem i dopiero z jego ust dowiedział się o wszystkim.

Długie, błyskające bagnety tyraliery rozwinęły się wokoło miasta.

Słońce zaszło. Krótka szarówka miała się ku końcowi. Miasto, niczym ponury nekropol, spoglądało czarnymi oczodolami dziur okiennych na cudzoziemskich intruzów. Nawet psów na ulicach nie było widać.

Fort też stał cicho, jak samotna wieża grobowa, naprężony, gotowy do śmiertelnego skoku. Nic nie wskazywało na to, że Feher czuwa i zdecydowany jest stoczyć bój do ostatka.

Tylko czarno-biało-zielona chorągiew syryjska, upstrzona trzema czerwonymi gwiazdami, łopotała na drewnianym drzewcu w podmuchach nadchodzącej nocy.



Bo taką białość może nadać bieliznie tylko Radion. Radion usuwa brud z każdej zakładki, nigdzie nie zostawia ani śladu brudu i bielizna jest „na wskroś“ czysta.

Używajcie do prania Radionu! Przy powolnym gotowaniu bielizny w Radionie wytwarzają się miliony drobnych pęcherzyków tlenu, które na wskroś przenikają tkaninę, usuwając z niej dzięki temu wszelki brud.

RADION

PIERZE-BIELIZNĘ NA WSKROŚ
WYRÓB SCHICHT-LEVER S. A.

Rzeczywistość sow ecła

Cudzoziemcy przynoszą nieszczęście

MOJA TOWARZYSZKA BLEDNIE

— Proszę pani, najlepiej zajdźmy do jakiejś restauracji i tam porozmawiamy na neutralnym gruncie. Niech pani nie obawia się — nikt mnie nie śledzi.

Wahała się, ale wreszcie zgodziła się zejść do jakiejś restauracji, byle nie dla cudzoziemców. Niewątpliwie była niezmiernie ciekawa tego, co dzieje się za granicą. Przeszliśmy tak z kilkadziesiąt metrów. Nagle

stanęła, twarz jej przyjęła wyraz kamienny, usta ścisnęły się.

— Nie, proszę pana, nie pójdę nigdzie.

Kiwnęła głową i prawie uciekła. Po tygodniu spotkałem ją w towarzystwie jakiejś damy w pewnym sklepie gastronomicznym. Z dałta leciutko kiwnęła mi głową i czym prędzej wyszła.

CUDZOZIEMCY PRZYNOSZA NIESZCZĘŚCIE

Tak skończyła się moja jedyna pró

ba nawiązania kontaktu z obywatelami sowieckimi i wnikięcia w ich życie prywatne. Pewien znajomy dyplomata, który mieszkał w Moskwie od wielu lat, oświadczył:

— Tu mam wielu starych, uniwersyteckich kolegów. Ale nigdy nie staram się zobaczyć z którymś z nich, bo wiem, że przyniosłbym im tylko nieszczęście. Wystarczy krótka rozmowa z cudzoziemcem aby narażać się na zarzut szpiegostwa i w najlepszym razie spędzić kilka lat na Solówkach.



Najlepszy sposób uchronienia studentów - żydów od wszelkich przykrości.

WODA GORZKA MORSZYNSKA i sól krystaliczna lub proszkowana — znakomite środki w nawykowym zaparciu stolca. Żądać w aptekach i składach aptecznych

Upał żelaza, za to krew kipiała w obu przystępujących do walki stronach.

Zwarli się ogniem żelaza.

Zagrzmiały forteczne armatki, basem odpowiedziały im polówki legii. Obszekały się nawzajem karabiny maszynowe. Mile zaświergotały nad uszami stada wróbi-kul.

Z węgla za węgiel, wśród brzyzgów gliny i ołowiu posuwali się pod fort legionści.

Od strzelnic do strzelnic uwijali się obrońcy fortu, starając się dojrzeć w ciemnościach przeciwnika.

Rzygnęły oslepiającym światłem ustawione na bastionach reflektory. Oblaty białym, upiornym całunem przestrzeń wokoło murów. Na sto metrów nikt pod nie mógł się przybliżyć.

Szrapnele, kule, granaty...

Symfonia walki, śpiew śmierci.

Grave skorzystał, że stojący u wylotu korytarza żołnierze zajęci byli walką, opędzając się od nacierających legionistów, i dopadł do podziemnego wejścia do radiostacji.

Nie myślał przychodzić legionistom z pomocą. Gdyby zdobyli podziemia, utrudniłoby mu to uprowadzenie pani d'Anduston.

Musiał sam załatwić tę sprawę.

Radiostację zastał zdemolowaną. Rozbity granatem aparat leżał na ziemi, kłębił się wokoło druty, czuć było prochem. Nie zważał na to.

Wyjrzał na dziedziniec fortu. Był pograżony w ciemnościach. Zaledwie można było odróżnić plecy stojących przy strzelnicach żołnierzy.

(D. c. n.).